

Ja, Faust, Dorian Gray, wcielenie chwili

(Dokończenie ze strony 9)

a co za tym idzie tych trzech, jakże wielkich trzech: wiary, nadziei i miłości, zgrzeszył tekstem podstępny.

Choć miłości w tym tekście bardzo wiele. Miłości do sztuki, do losu, do natury, wreszcie do ludzi, do człowieka, do literatury... a może i do własnego wymiaru obdarzenia nietuzinkową zdolnością wypowiedzi.

Postanowiłem napisać tę polemikę z dwóch powodów. Po pierwsze z potrzeby podkreślenia wagi i znaczenia tego Miłoszowego arcydzieła zatytułowanego „Dar” (powstałego w Berkeley w 1971 roku – mój Boże, jakżo to był inny świat) oraz z powodu drugiego, może o wiele ważniejszego, otóż z powodu tego, że cały korowód myślenia będącego genezą owego cudownego eseju Gronczewskiego jest mi jakże obcy.

Zacznijmy od końca. Kondensując moją polemikę chciałbym zwrócić uwagę autorowi, że wcale nie trzeba żadnego męstwa, aby (nawiązując do Daru Miłosza) *uciszyć to pierwsze morze* (to niby, w którym żyjemy, targane namiętnościami, burzami i szaleństwem), *i dostrzec wtóre, pogodne*. Do tego wręcz trzeba się chyba męstwa wyżyć – wystarczą wam: bojaźń Boża, pokora, skromność i głęboka wiara w rzecz oczywistą, że nic nigdy nie wydarzyło się na tym świecie, świecie który już znamy, bez przyczyny, a to niejako implikuje, że być może odcinek od A do Z, nie kończy się... na Z, że nasza logika, niekoniecznie jest logiką jedyną i oczywistą, że nasze wymiary wcale nie są ograniczone, że jest coś poza i że nasz umysł po prostu ogarnąć tego nie potrafi, nie potrafił i nigdy nie zdoła.

No cóż – myślenie takie dziś nie tyle, że niemodne, niepoprawne, wstydlive, ale jest wręcz mega-zbombardowane wszelkimi dopuszczalnymi formami, środkami i metodami ze sztuką współczesną na czele. A fe, jakże nieładnie tak myśleć. To przecież coś jakby religia – opium dla mas, przyczyna wszelakich nieszczęść tego świata i jakże pod prąd neomarksistowskiej ideologii wtłaczanej nam na chwałę każdego dnia.

Ufff, jak gorąco.

To jedno. A poza tym?

Wyczułem w wydźwięku tego tekstu owe heglowskie ukąszenie. Być może urocz zakamuflowane. Lekkim piórem przeniesione w przepiękny literacki sen faustowskich uniesień i akademickich rozważań, w przestrzeń elokwentną i pełną zdumień, w obszar nie dziewiczy i nasączony naszą z pozoru nieodwracalnością drogi ku śmierci. Ku śmierci, której nie ma, bowiem, jeśli my jesteśmy, śmierci nie ma, kiedy śmierć przychodzi nas już chyba nie ma, a może to tylko złudzenie, a prawdą jest jedynie ból.

Chcieliśmy być bogami i takimi się uczyniliśmy. Płacimy dziś za to straszliwą cenę. Wszyscy znaleźliśmy się na śmietniku historii, w naszą codzienność wkraść się technologiczny śmietnik treści, rzeczy i sieci, a w naszej duchowości tkwi ów fatalizm, dekadencja duchowości, permanentny stan bezsensu egzystencji powodujący nieokiełznany hedonizm poza granice zdrowego rozsądku. Powodujący samotność, atrofię, alienację i jęk opuszczenia.

Okręć nasz zatonie jak Titanic. On się roztrzaskał z hukiem o skały i ze spektakularnym wyciem potępionych, którzy zagryzą się wzajemnie, a potem zjedzą – jak to poganie, kanibale i czy prawem silniejszego zwycięzca weźmie wszystko? Wszystko to, co pozostanie, ale pozostanie jedno wielkie nic...

Jednak jest w tym tekście i w jego kontekście jedno przesłanie bardzo, ale to bardzo ważne. Epokowe, ponadczasowe, trwałe do bólu i bezcenne. To **zdolność odczuwania zachwyty** (towar dziś deficytowy).

I tutaj zgodzę się z Autorem bardzo ściśle. To podstawowa przesłanka czynienia świata lepszym, pojęcia go, zrozumienia i przełożenia na akceptację własnego losu. Nie zgodzę się jednak, co Autor delikatnie sugeruje, że zachwyty to cecha dzieci i zwierząt, a człowiek?...

Zachwyty wydaje mi się osobliwie cenną, surową i szlachetną próbą człowieczeństwa. Wiem, że bywa nieludzki. Że oddala nas od bogów. Że mocniej łączy ze światem zwierząt i dzieci. Że domaga się czujnych, głodnych nozdrzy i żrenic. Że kasuje ból rozstania – dzięki ofercie nowych dłoni.

Zachwyty bywa nieludzki? Oddala nas od bogów? Jest cenną, ba – surową (?) próbą człowieczeństwa? To do tego już doszliśmy, że zachwyty, naturalna, najprostsza i najpiękniejsza z ludzkich cech stała się unikatem na skalę światową, że już tak nisko upadliśmy, iż zachwyty jest niejako wstydlivy, obciachowy, passe – że możemy go ujawnić bez konsekwencji jedynie jako dzieci (wiadomo, dzieciom wolno więcej), a my, jako ludzie dorośli, dostojni, poważni i opanowani staliśmy się tak dalece wyrachowani, że zachwyty... to słabość i nie każdy może sobie na to pozwolić.

Mój Boże. Co to za świat? Czy za to odpowiedzialna jest literatura? Czy może Marks z Engelsem, a wcześniej z całym szeregiem oświeceniowych bogów ideologii wszelakiej usprawnionych dziś znużonym unijnoeuropejskim komisarzem do spraw banana? Ach nie. Już wiem. Za to ponosi odpowiedzialność Kościół katolicki, z tymi jego zabobonami i całym tym infantylnym ukąszeniem *drogą do Damaszku* oraz ten opętany (acz inteligentny) Żyd – jeden z drugim przecież, którym, ależ obydwu, coś się pokręciło – jeden miał czelność podobno zmartwychwstać (mój Boże, cóż z brednie), a drugiemu się przywidziało, że spotkał tego pierwszego i mamy to do dziś wraz z grupką oszołomów w Watykanie...

Doprawdy nie wiem. Kto tu i kogo, ale też i w co ukąsił. Ja chyba też nie chcę mówić tu i teraz o moich grach z faustyczną chwilą. Romantyzm to cudowna i jakże płodna literacko epoka, która być może nazbyt mnie jakoś tam

ukąsiła i dziś, kiedy widzę, słyszę, bądź czytam teksty, które z jednej strony zachwycają mnie erudycją, wiedzą i poletem, ale potem z drugiej strony uważam je za szkodliwe mentalnie, moralnie i etycznie to szczyryk mi się w kieszeni otwiera i sam sięgam po pióro.

Ponoć efektem polemiki ma być ferment intelektualny, wzniecenie niepokoju duchowego, zaczyn do pokojowego i kreatywnego dzielenia się poglądem, podejściem i sądem, ale żyjemy w epoce, w której dopuszcza się tylko jedną poprawnie polityczną wizję rzeczywistości. I wciąż, każdego dnia podbija ten bębenek nagłośnienia. Prawda? A cóż to jest dziś prawda?

Wracając do tekstu Andrzeja Gronczewskiego i Jego chwili faustycznej warto ten tekst jeszcze raz przeczytać, albo i kilka razy zgłębić i zadumać się: nad kondycją tego świata, nad formami, które ów świat przybrał, naszymi losami, wyznawanymi wartościami, nad naszymi: wiarami, nadziejami i miłościami oraz nad tym wszystkim co jeszcze może się na tym świecie wydarzyć.

Czasami marzę już tylko o jednym, aby jak bohater wiersza Miłosza ... wyprostować się i widzieć (tylko) niebieskie morze i żagiel.

Wiem jednak na pewno. To będzie inne morze i inny żagiel niż ujrzał faustycznie Andrzej Gronczewski w swojej wizji Miłoszowego Daru. To będzie inna chwila, którą będę prosił, aby trwała wiecznie. Będę wtedy naiwny jak dziecko i bezbronny jak mój pies, który musiał odgryźć swoją smycz, aby być ze mną, bowiem spotkał na drodze swojego marnego życia takich ludzi, którym się po prostu znudził i wywieźli go do lasu, a tam przywiązali do drzewa... i w ten nieludzki sposób ci ludzie *skasowali też ból rozstania, dzięki ofercie nowych dłoni*... Trudno chyba o większą karykaturę „męstwa”, gdyby tak się jednak chwilę na chłodno zastanowić...

Andrzej Walter



Rys. Barbara Medajska